Nr. 5. Kraków, dnia 1 Marca 1897. Rocznik II.

Redakcyi i Administracyi
ulica Floryańska L. 55,

Wszelkie
listy i przesyłki pieniężne
adresować należy do
Redakcyi lub Administracyi

Listy reklamacyjne
nie podlegają opłacie



Prenumerata wynosi:
W Krakowie:
(bez odsyłki)
rocznie . . . . 1 złr. 20 c.
półrocznie . . — „ 60 „
kwartalnie . . — „ 30 „
W Austryi:
rocznie . . . . 1 złr. 40 ct.
półrocznie . . — „ 70 „
kwartalnie . . — „ 35 „
W Niemczech:
rocznie . . . . . 3 marki.
We Francyi:
rocznie . . . . . 5 franków

Numer pojedynczy 5 ct.

Do nabycia w Krakowie w Biurze dzienników Plac Maryacki L. 2.

Wychodzi 1 i 15 każdego

Socyalistyczna Rada miejska.

Często można słyszeć zarzut, jaki robią nam nasi przeciwnicy, że my obiecujemy ludziom złote góry, a w rzeczywistości nic z tego nie wykonamy. Podług nich, chodzi nam tylko o zdobycie sobie władzy, a dostawszy się do rządów, tak samo nie będziemy dbali o lud, jak inne partye. Zwłaszcza teraz, przed wyborami, kiedy porusza się niebo i piekło, aby nas zwalczyć, i ten zarzut wytacza się przeciwko nam, jako jednę z najcięższych armat. Warto więc przypatrzyć się, jak w innych, szczęśliwszych krajach, gdzie socyaliści zdołali już dostać się do władzy, jak oni tej władzy używają i czy rzeczywiście z chwilą objęcia rządów zawiedli zaufanie ludu.

Mamy przed sobą sprawozdanie socyalistycznej rady miejskiej w francuskiem mieście, **Roubaix**. W r. 1892 wybrano tu 36 radców socyalistycznych, którzy z małymi wyjątkami byli prawie wszyscy robotnikami. Na ich czele stanął robotnik tkacki, **Emil Carette**, którego wypędzono z wszystkich fabryk za agitacye socyalistyczną i który dla utrzymania się przy życiu musiał sprzedawać po mieście jarzyny, węgle i gazety. Tacy więc ludzie, przez całą burżuazyę odepchnięci, lekceważeni, mieli odtąd rządzić miastem o przeszło 100 000 mieszkańców, mającem kilkumilionowy budżet. — I mimo to sprostali oni zupełnie ogromnemu zadaniu, jakie na nich włożono. Nie ma obecnie ani jednego obywatela w mieście **Roubaix**, któryby nie uznał dobroczynnej i niezmiernie doniosłej działalności socyalistycznej rady.

Pierwszem dziełem socyalistycznych radnych było urządzenie **gospody dla uczniów**, w której każde dziecko, uczęszczające do szkół miejskich, otrzymuje codziennie bezpłatnie obiad. Już w grudniu 1892 r. urządziła rada dwie nowe gospody, które do 13 stycznia 1893 r. rozdawały codziennie 225 obiadów za darmo dzieciom, chodzącym do szkoły.

Zachęcona powodzeniem, otworzyła rada w ciągu r. 1893 **dziesięć** gospód dla szkół najniższych, do których uczęszczają dzieci do lat 6. Brak odpowiedniego miejsca nie pozwolił na utworzenie gospody przy każdej szkole; dlatego jeśli dwie szkoły były blisko siebie, to urządzono dla nich jednę gospodę i wówczas dzieci kolejno obiadują.

Koszta jednej takiej gospody dla 100 dzieci wynoszą około 827 fr. (tj. przeszło 372 złr.) Na każdy obiad wypada mniej więcej 17—18 centimów, od 23 grudnia 1891 do 31 sierpnia 1893 rozdzielono obiadów 161.432, które kosztowały razem 29.002 fr. W roku szkolnym 1893/94, tj. w przeciągu 10 miesięcy, rozdzielono w 12 gospodach 239·691 obiadów między 1060 dzieci.

Przyglądając się spisom potraw, podawanych w takich gospodach, przekonamy się przedewszystkiem, że zwraca się tu baczną uwagę tak na hygieniczność, jakoteż na smaczne przyrządzenie obiadów. Każdy obiad składa się z zupy, mięsa, jarzyn, chleba i szklanki piwa. Ilość pokarmów jest zupełnie zadowalniająca; stosownie do wieku dzieci powiększa się porcye, a jeden z naocznych świadków opowiada, że dzieci często nie zjadają nawet wszystkiego.

Poznać, że to zakłady, urządzone przez robotników dla robotników. Czuć tu na każdym kroku prawdziwie ojcowską pieczołowitość dla dzieci, które kapitalizm pozbawił możności żywienia się przy stole rodzinnym. To nie są owe wysławione przez burżuazyę „tanie kuchnie“, gdzie „filantropijne“ damy rzucają proletaryuszom ochłapy nędznych pokarmów, każąc się potem sławić w gazetach. To nie owe zakłady dla wychowania dzieci, gdzie z młodych, swobodnych umysłów wyrabia się służalcze duchy, tchnące obłudną pokorą i dewocyą. To słowem nie burżuazyjna filantropia, tańcząca „na rzecz głodnych dzieci“, ale prawdziwie robotnicza instytucya, wynikająca z poczucia obowiązku.

Oto jak maluje jeden z francuskich socyalistów wdzięczny obrazek życia biednej dziatwy w owych zakładach w **Roubaix**.

„Pierwszy raz zwiedzałem owe gospody w towarzystwie delegatek socyalistycznego stowarzyszenia kobiet w Lille, przedstawił się wówczas moim oczom obraz, którego nigdy w życiu nie zapomnę. Dwieście do trzystu dzieciaków w wieku lat 3—6 spożywało obiad. Matki idą do fabryk i posyłają swoje małe, jeśli mogą już biegać, do szkoły, zwłaszcza odkąd dostają tam jeść. Stoły były tak wysokie, jak krzesła; przed każdem dzieckiem stał talerz, kubek i łyżka. Siedząc na małych ławkach, przypatrywały się dzieci w pobożnem milczeniu rozdziałowi zupy, którego dokonywały nauczycielki przy pomocy dwunastoletnich uczniów. Malutkie, trzyletnie dzieci siedziały obok 6-letnich dziewczątek, które pełniły wobec nich obowiązki małych mateczek, większe pomagały młodszym w jedzeniu i same od czasu do czasu podnosiły pełną łyżkę do ust, jako wynagrodzenie za spełnianą czynność. Kiedy już pierwszy głód był nieco zaspokojony, doleciał do naszych uszu zachwycający koncert śmiechu, krzyków i śpiewu. Jedna z delegatek płakała, widząc uszczęśliwione twarzyczki tych biednych dzieci, i rzekła: „Kiedyżmy w Lille, będziemy mieli takie zakłady?“

Obok tego rada miasta Roubaix rozdziela dzieciom ubrania. W r. 1882 rozdała 17.900 ubrań, wartości 29.946 franków.

A przy tem wszystkiem nie podniesiono ani o pół centa podatków, nie zwiększono żadnych ciężarów. U nas, skoro tylko rada miejska, sejm lub parlament chcą zaprowadzić jakie ulepszenia, przedewszystkiem nakładają większe podatki i naturalnie na rzeczy najpotrzebniejsze. Inaczej — powiadają — nie się zrobić nie da, bo — nie ma pieniędzy. Tymczasem, chociaż te wszystkie urządzenia w Roubaix pociągnęły za sobą większe wydatki, to przecież widzimy, że dawniejsze dochody wystarczyły zupełnie. Socyaliści cudów przecież nie robią, a cała sztuka leży tylko w uczciwej i dobrej gospodarce.

Za pomocą takiej gospodarki socyalistyczna rada miejska w Roubaix zdobyła sobie serca wszystkich uczciwych ludzi. To też w r. 1896 ta sama rada została znowu wybrana i ma jeszcze inne plany, które wprowadza w życie.

Dopóki burżuazya miała w swych rękach rady gminne, nie słyszano o niczem podobnem. „Panowie“ nie mają czasu myśleć o tem, aby dbać o dobro ludu. Uważają oni, że obowiązkiem tylko tego ludu jest — wybrać ich, a ich przyjąć łaskawie wybór. Zresztą wszystkie urzędy i godności uważają oni tylko za szczebel do własnej chwały i wzbogacenia się. Dopiero robotnicy pokazali wszystkim, czem powinny być wszystkie ciała, mające jakąś władzę. Dopiero oni nauczyli ludzi, czego mają się domagać od swoich przedstawicieli w każdem ciele prawodawczem.

Socyaliści, dostawszy się do władzy, myślą przedewszystkiem o tem, jak z niej skorzystać dla dobra ludu. Żadna inne partya, prócz socyalistów, nie stara się po wyborach o dotrzymanie obietnic, danych na zgromadzeniach przedwyborczych. Mamy najlepszy dowód tego na radzie miasta Wiednia, która składa się

Gerhart Hauptmann.

DRÓŻNIK THIEL.

(Ciąg dalszy).

III.

Mimo że Thiel z możliwym pośpiechem wracał do swego leśnego pustkowia, przybył jednak na miejsce o kwadrans później, aniżeli było przepisano.

Pomocnik jego, człowiek, który wskutek koniecznych przy służbie tej szybkich zmian temperatury wpadł w suchoty, stał już, gotowy do odejścia, na małej, piaszczystej platformie domku, którego wielka, czarna, na białem tle liczba widniała po przez drzewa na znaczną odległość.

Podali sobie ręce, zamienili kilka słów i rozeszli się. Jeden zniknął we wnętrzu budy, drugi oddalił się, przecinając tor, kierując kroki na dalszy ciąg drogi, którą Thiel przeszedł. Słychać było kurczowy jego kaszel najpierw wyraźniej, potem słabiej, aż wreszcie wszelkie dźwięki w pustkowiu tem zamarły. Jak zawsze, tak i dziś, Thiel zaczął przedewszystkiem urządzać na noc ciemną, czworokątną swoją klatkę. Czynił to mechanicznie, podczas gdy myśl przetrawiała jeszcze wrażenia ostatniej godziny. Wieczerzę swoją złożył na wąskim, brunatnym stole, koło jednego z okien, z których wygodnie widzieć było można cały tor. Następnie w małym, rdzawym piecyku rozniecił ogień, stawiając na nim garnek zimnej wody. Uporządkowawszy wreszcie narzędzia, wziął się do czyszczenia lampy, którą zarazem w naftę zaopatrzył.

Kiedy skończył, trzy ostre uderzenia dzwonu obwieściły, że pociąg, idący z Wrocławia, opuścił najbliższą stacyę. Thiel, najmniejszego nie okazując pośpiechu, pozostał jeszcze przez czas jakiś we wnętrzu budki, wreszcie wziąwszy do rąk chorągiewkę i ładownicę, zwolna izbę opuścił i ciężkim krokiem powlókł się przez wąską, piaszczystą ścieżynę ku wiaduktowi. Baryery Thiel sumiennie przed i po każdym pociągu zamykał i otwierał, mimo to, że rzadko kiedy ktośkolwiek mostem przechodził.

Skończywszy robotę, oparł się o czarnobiały szlaban i czekał.

Z prawej i lewej strony tor zachodził prostą linią w nieprzejrzaną, zieloną gęstwinę. Z obu stron usuwały się jakoby w tył masy igieł, pozostawiając między sobą wolną przestrzeń, zajętą przez czerwono-brunatny, żwirem wysypany wał kolejowy. Czarne, równolegle biegnące szyny podobne były do ogromnego oka żelaznej siatki, której wąskie pasma zbiegały się w jakimś punkcie widnokręgu na skraju południa i północy.

Zerwał się wiatr, rzucając ciche fale wzdłuż lasu i na oddala. Ze słupów telegraficznych, rozsianych po torze, rozlegał się szum akordów. Na drutach, wijących się od słupa do słupa, niby przędza jakiegoś olbrzymiego pająka, przysiadły w gęstych szeregach roje świegocących ptasząt. Dzięcioł, śmiejąc się, przefrunął ponad głową Thiela, który nawet na ptaka nie spojrzał.

Słońce, zwieszające się z brzegów potężnych chmur, aby za chwilę utonąć w czarno-zielonem morzu wierzchołków, zalewało gęstwinę falami purpury. Arkady sosen, po drugiej stronie wału, zapłonęły niby z wewnątrz, iskrząc się jak rozżarzone żelazo.

I szyny zaczęły płonąć, niby węże ogniste, lecz pierwsze zgasły; i oto żar zaczął się wznosić zwolna z ziemi ku górze, tuląc w zimne, umierające światło najpierw pnie sosen, potem większą część ich koron, rzucając wreszcie tylko jeszcze na sam skraj wyżyn czerwonawe połyski. Dróżnik wciąż stał jeszcze nieruchomie przy baryerze, w końcu o krok postąpił; ciemny jakiś punkt na miejscu, gdzie się szyny schodziły, powiększał się. Rosnąc tak z sekundy na sekundę, zdawał się jednak z miejsca swego nie posuwać. Nagle poruszył się i zaczął zbliżać. Szyny drżały i szumiały, odzywały się rytmicznym szczękiem, głuchym hukiem, coraz głośniejszym, który wreszcie do odgłosu kopyt końskich, do galopu całego hufca jeźdźców stał się podobnym.

Urywane dyszenie, huczenie zdala wzmagało się w powietrzu; potem cisza urwała się nagle, szalony szum, łoskot wypełniły przestrzeń, szyny ugięły się, ziemia zadrżała, chmura kurzu, dymu, czadu, i czarny, sapiący potwór zniknął. Podobnie jak poprzednio szelesty rosły, tak teraz powoli, stopniowo konały. Opary niknęły, pociąg, skurczony do objętości punktu, ginął w oddali i dawna, święta cisza legła znowu nad zakątkiem leśnym.

IV.

— Minno! — szepnął dróżnik, jakby ze snu się budząc i wrócił do budki. Zaparzywszy sobie lekką kawę, siadł i zwolna popijając, utkwił oczy w kawałek jakiejś gazety, którą znalazł na torze.

z antysemitów; jeśli ją porównamy z socyalistyczną radą miejską w Roubaix, jakiż ważny obraz przedstawia jej działalność. Ci ludzie, którzy przed wyborami przyrzekli mieszkańcom Wiednia gruntowną poprawę wszystkich stosunków, dzisiaj zaznaczają swoją działalność tem, że odbierają z funduszów, przeznaczonych na oświatę i cele dobroczynne, pieniądze i restaurują za nie kościoły i kaplice!

I rzecz to zupełnie naturalna: wszystkie bowiem inne partye, ubiegające się o względy ludu, to tylko mniej lub więcej szczęśliwi oszuści. Dla nich jedynym celem jest zdobycie mandatów, wydarcie otumanionej ludności potrzebnej ilości głosów, — a później zapominają o wszystkich obiecankach, w których spełnienie sami nigdy nie wierzyli.

Socyaliści przeciwnie: jak we Francyi, tak w innych krajach, dostawszy się do władzy, mają zawsze jeden tylko cel, którego nigdy nie spuszczają z oka: dobro ludu.

Choroby służby kolejowej.

Zawód kolejowy należy do najuciążliwszych zawodów, przedewszystkiem z powodu ciągłych niebezpieczeństw i zbyt długiego czasu pracy. A chociaż ilość rozmaitych postaci zawodowych chorób kolejarzy nie jest bardzo wielka, to ich rozwój i przebieg zniewala nas do zaliczenia ich do rzędu najniebezpieczniejszych.

Stąd pochodzi, że kolejarze żyją przeciętnie najwyżej lat 35; ten wiek jest kresem życia, pełnego udręczeń i trudów.

Pomijając kategoryę robotników warsztatowych, jako nie cierpiących na kolejowe choroby, przypatrzymy się chorobom robotników, zatrudnionych przy kierownictwie pociągów, zajętych wogóle w służbie pociągowej i personalu stacyjnego.

Wszystkie te trzy kategorye cierpią bardzo często na choroby reumatyczne, co wobec ciągłych przeciągów na dworcach, w maszynach i wagonach, wobec ustawicznych zmian w temperaturze i rozmaitych miejsc pracy, nie jest wcale dziwnem.

Najsilniej jednak wybite jest piętno kolejowe na kategoryi personalu jazdy. U tych robotników występuje przeważnie specyalny rodzaj ogólnego znużenia, jakoteż odrębna forma wrażeń.

Co do pierwszego, to następujące momenty wpływają podczas jazdy na maszynistów i palaczy:

1. Znaczne wstrząśnienie.
2. Nieprzerwane natężenie organu słuchu i wzroku.
3. Przenikający przeciąg (mniej na lokomotywach, opatrzonych dachem).
4. Ustawiczne utrzymywanie ciała w prostej pozycyi.
5. Zmiana temperatury.
6. Proch (w pewnych warunkach).
7. Trujące gazy, zwłaszcza tlenek węgla.

Prof. Hirt, od którego wzięto powyższe zestawienie, odbył sam częstsze jazdy na lokomotywach, aby się samemu przekonać o znaczeniu każdego z wyżej wymienionych momentów. Oto jak on opisuje wrażenia z tych podróży:

W pierwszych 20 minutach jazdy czuje się niezwykłe wstrząśnienie; w dalszym ciągu daje się zauważyć silnie przyspieszenie tętna i to nieregularne. Przeciętnie wynosi ono 90—95 uderzeń na minutę; również następuje szybszy oddech, co razem wpływa na wytworzenie się dziwnie niemiłego stanu. Po 30—50 minutach uczuwamy ból w kolanach i łydkach; po dwugodzinnej jeździe owłada nami ogólne osłabienie, znużenie, powstaje silne pragnienie i czasem występują też mdłości. Przebywszy 7—10 mil doznaje się zupełnego oszołomienia, połączonego z szumem w uszach, tak, iż koniecznie pożąda się jakiegoś punktu oparcia. Po 7½ godzinach jazdy czułem się tak zmęczonym, jak przynajmniej po 24-godzinnej podróży w coupee. Należy przytem pamiętać, że palacz albo kierujący lokomotywą ma bardzo często przebyć 47 mil bez przerwy i że wytęża przytem nietylko siły cielesne, ale też umysłowe; wzrokiem, ustawicznie w jedną stronę zwróconym, musi przebiegać linię, po której jedzie i nawet w nocy odróżniać kolory (np. czerwony od zielonego), co przecież stanowi nieraz o losie całego pociągu. Równie silnie musi i słuch wytężać; żaden najmniejszy szelest nie może ujść jego uwagi. Pomijam już tutaj szczególnie niebezpieczne sytuacye, jak n. p. kiedy palacz musi nasmarować oliwą przednie części maszyny; przypomnę jeszcze tylko, że tak palacz, jak i kierownik pociągu narażony jest zimą i latem, dniem i nocą na częste zmiany temperatury!

Co do skutków długoletniej jazdy, to zdania są podzielone. Jedni twierdzą, że uderzenia krwi do mózgu, zanik władz umysłowych i fizycznych, choroby stosu pacierzowego, są koniecznem następstwem, podczas kiedy inni nazywają to „mylnem zapatrywaniem". Być może wreszcie, że te skutki nie są koniecznemi, jest jednak rzeczą pewną, że tworzą regułę z dosyć nielicznemi wyjątkami.

Przedewszystkiem faktem stwierdzonym jest częste występowanie t. zw. „choroby kolejowej". Jestto rodzaj choroby pacierzowej, polegającej na sparaliżowaniu dolnych części ciała, a mającej podstawę swoją w długiem staniu na toczącej się maszynie, lub na wagonie. Co do zaostrzenia zmysłów, które niektórzy wychwalają, jako skutek kierowania lokomotywą, to wprawdzie zachodzi ono bez wątpienia, ale z wiekiem i przy wzrastającem natężeniu sprowadza coś wręcz przeciwnego: przytępienie zmysłów. Jeden wypadek nieszczęśliwy na kolei Franciszka Józefa miał miejsce dlatego, że kierownik przeoczył ostrzeżenie. Ale też kierownik ów odbył przedtem bezpośrednio 60 godzin ciągłej jazdy! Nieszczęście więc w takim razie nie było winą tego kierownika, na którego chciano wszystko zwalić, ale winą tych, którzy mu kazali jechać 60 godzin bez przerwy!

Dalszym skutkiem tej jazdy są katary oka i dróg oddechowych, wywołane częścią zmianami powietrza, częścią zaś wilgocią i pyłem węglowym, na którego wdychanie służba kolejowa jest ustawicznie narażona.

Najważniejszym czynnikiem, odbierającym kolejarzom zdolność do pracy, są uszkodzenia. Uszkodzenia na kolejach są po większej części masowe i należą do najcięższych. Jak wielką część wszystkich wypadków zajmują uszkodzenia, poniesione na kolejach, wykazuje następująca statystyka:

Z 16.800 osób we Francyi które odniosły uszkodzenia, było:

	Zmarłych	Zranionych	Razem
Podróżnych	324	2508	2832
Służby kolej.	2154	9754	11908 = 78%
Innych	991	1076	2067
			16890

Służba kolejowa odniosła więc 78% wszystkich uszkodzeń; a zatem była 5 razy częściej narażona na wypadki, niż inni podróżujący.

Pewien francuski statystyk, Tourdes, porównywa wypadki kolejowe z innemi i przedstawia ich wzajemny stosunek do siebie w następujący sposób: Zetknięcie się przy pociągu towarowym, który robi 11·11 m. na sekundę, równa się upadkowi z 2 piętra; przy pociągu pospiesznym o 13·88 m. na sekundę upadkowi z 3 piętra, a przy „ekspresie" o 16·16 m. na sek. upadkowi z 4 piętra.

Rany, zadawane przez koła lub inne części lokomotyw i wagonów są straszne. Zazwyczaj wszystkie żebra ulegają połamaniu, a z wewnętrznych narządów robi się jedna płynna masa, zmieszana z krwią. Zewnętrznie wyglądają zwłoki zabitych, jak gdyby rozcięte nożem.

Zastanawiając się nad środkami zapobiegawczemi przeciwko tym wszystkim chorobom i wypadkom, dochodzimy do tego, że pierwszem i najważniejszem jest — ochrona robotnicza. Należy tu skrócenie czasu pracy, co dla kolejarzy jest rzeczą niezmiernej wagi! Nadto zaleca się tutaj środki ochronne przeciwko samym wypadkom. Nie ulega bowiem wątpliwości, że środki takie istnieją (ulepszenie wagonów, pokrycie lokomotyw dachem i t. p.) i że tylko niedbalstwu zarządów kolejowych przypisać należy ich brak dotychczasowy; wszystkie zaś powoływania się zarządów na „nieuwagę" robotników, są tylko prostą wymówką. — To wszystko jednak trzeba sobie zdobyć — i kolejarze zdobędą to sobie zapomocą silnej organizacyi.

Dr. Ellenbogen.

PRZEGLĄD.

Towarzysze! Koledzy! Ostatni raz przed wyborami odzywamy się do Was! W dziesięć zaledwie dni od czasu, kiedy ten numer będzie w Waszych rękach, nadejdzie chwila wyborów. Z kartką w ręku pójdziecie wszyscy oddać głosy swoje temu, którego będziecie uważali za najgodniejszego swego zaufania, którego uznacie za obrońcę całej klasy robotniczej, a więc i Waszego także, kolejarze! Trzeba się nam uzbroić na tę chwilę w odwagę i energię! Nie dajcie się uwieść nikomu; nie wierzcie żadnej jednostce, o której szczerych chęciach nie jesteście przekonani! Znajdą się tacy, którzy będą chcieli wyłudzić od Was kartki wyborcze, aby na nich wypisać nazwisko swego kandydata. Znajdą się tacy, co nie cofną się przed żadnemi środkami, użyją groźby i postrachu, aby Was pozbawić głosu. Wy, towarzysze, okażcie wówczas, że jesteście mężami; okażcie, że się niczem zastraszyć nie dacie i wbrew wszystkim Waszym wrogom spełnicie sumiennie swój obowiązek. W dniu 11 marca nie będzie dla Was żadnej tak pilnej roboty, żadnego zajęcia, któregoby się nie musieli porzucić dla osobistego oddania kartki w miejscu głosowania. Do Was zaś przedewszystkiem odzywamy się, towarzysze krakowscy! Wiecie bardzo dobrze, że i nam i naszym wrogom chodziło przedewszystkiem o Kraków. Stańczycy i połączeni z nimi „ludowcy" i „katoliccy robotnicy" (owieczki jezuickie) wytężą wszystkie siły, aby naszego kandydata krakowskiego, Ignacego Daszyńskiego, nie dopuścić do parlamentu I dlatego my musimy pokazać im swoją siłę: **Daszyński musi być naszym posłem!** Ta myśl, towarzysze, powinna teraz kierować każdą naszą

Stopniowo zaczął go ogarniać dziwny jakiś niepokój. Przypisywał to żarowi, idącemu z piecyka, aby więc sobie ulżyć, rozpiął gwałtownie mundur i kamizelkę, i gdy to nie pomogło, wstał, wziął z kąta rydel i udał się na podarowane pole.

Był to wąski szmat piasku, gęsto chwastami porosły; na gałęziach dwóch drzewek owocowych młode, wspaniałe kwiecie legło niby śnieżno-biała piana.

Thiel uspokoił się.

A więc do roboty.

Rydel ze zgrzytem wpijał się w ziemię, wilgotne skiby padały z głuchym odgłosem i kruszyły się.

Pracował jednym ciągiem, potem nagle przestał i kiwając głową, rzekł do siebie głośno i wyraźnie: „nie, nie, niepodobna", i znowu: „nie, gdzież tam, niepodobna".

Przyszła mu nagle myśl, że oto teraz Lena częściej tu przychodzić będzie w celu obrobienia tej roli, wskutek czego dotychczasowy sposób jego życia silnie zostałby zachwiany. I raptem radość jego z powodu posiadania tej gleby zmieniła się we wstręt do niej. Z pośpiechem, jakby chciał popełnić coś złego, wyrwał rydel z ziemi i odniósł go do budki. Tu zapadł znowu w głuchą zadumę. Nie wiedział, dla czego, ale perspektywa pozostawania tu na służbie przez całe dnie w towarzystwie Leny wydawała mu się coraz więcej niepodobną do zniesienia, mimo że gorąco usiłował się z nią pogodzić. Zdawało mu się, jakoby miał tu bronić czegoś, co bardzo mu było drogiem, jakoby ktoś wdzierał się do jego świątnicy i mimowoli żyły sprzęgły mu się kurczem, a z ust wydobył się krótki, wyzywający śmiech. Echem tego śmiechu przestraszony, rozejrzał się po budce i stracił jednocześnie nić swoich rozmyślań.

I nagle coś, niby czarna zasłona, przerwała się na dwoje i zamglonym jego oczom przedstawił się widok jasny. Wydało mu się zrazu, że ockął się ze snu dwuletniego, że z niedowierzającym ruchem głowy przygląda się wszystkim tym strasznym rzeczom, które w owym stanie podobno popełnił. Cierpienia starszego jego dziecka, stwierdzone zajściem ostatniem, wyraźnie odbiły się w jego duszy. Zdjęła go litość i żal, i wstyd głęboki, że cały ten czas przeżył w haniebnej bierności, nie obroniwszy ani razu kochanego, bezsilnego stworzenia, co więcej, nie znalazłszy nawet mocy przyznania sobie, jak bardzo stworzenie to cierpiało.

Wśród tych rozmyślań zmogło go silne zmęczenie, zasnął tedy — pochylony, czołem wsparty na dłoni, spoczywającej na stole.

Siedział już tak przez czas jakiś, gdy nagle stłumionym głosem zawołał kilkakrotnie: „Minno!"

W uszach miał huk, szum, wznoszący się jakoby z niezmierzonych mas wodnych, wokoło mrok — zbudził się. Drżał na całem ciele, twarz mokrą była od potu i łez.

Ciemno było, jak w grobie, chciał spojrzeć w stronę drzwi, nie wiedząc dokąd się zwrócić. Chwiejąc się, wstał, a lęk trwał jeszcze. Las szumiał niby bałwany wzburzonego morza, wicher gradem i deszczem rzucał w okna budki. Thiel bezradnie macał wokoło rękami. Przez chwilę miał uczucie tonącego, aż tu nagle strzeliło coś jasnym, niebieskim płomykiem, niby drobina jasności nadziemskiej, która pada w ciemną atmosferę ziemi, aby w niej zagasnąć.

Chwila ta, choć krótka, zdołała jednak przywrócić strażnikowi przytomność; pochwycił szczęśliwie latarkę i w tejże sekundzie na skraju nieba zbudziła się burza, wyrzucając z początku stłumione, powstrzymywane ryki, staczając się potem w krótkich, niespokojnych falach, aż wreszcie, urósłszy w siłę, zaczęła napełniać przestrzeń hukiem, drganiem, szumem.

Szyby zadrzwoniły, ziemia zatrzęsła się.

Thiel zaświecił lampę, a odzyskawszy panowanie nad sobą, rzucił przedewszystkiem okiem na zegar. Zaledwie pięć minut brakowało do nadejścia pociągu pospiesznego. Myśląc, że sygnału nie dosłyszał, pobiegł z możliwą szybkością ku baryerze; zamykał ją właśnie, gdy rozległ się dzwon sygnałowy. Wicher rozdzierał dźwięki, rozrzucając je na wszystkie strony. Sosny gięły się, z przykrym trzaskiem i piskiem trąc wzajem o siebie gałęzie. Na chwilę wyjrzał księżyc, zawieszony wśród chmur niby jasno-złota czara. W jego świetle widać było wdzieranie się wiatru w czarne korony sosen. Liście brzezin, przy torze, unosiły się i powiewały, niby straszące ogony końskie. Pod niemi biegły linie szyn, które, błyszcząc od wilgoci, miejscami wchłaniały światło księżyca. (C. d. n.).

działalnością! Nie ustańmy w pracy, nie wypocznijmy pierwej, zanim jej nie wprowadzimy w życie!

Towarzysze! Pamiętajcie o dniu 11 marca!

„Ludowy" kandydat z V kuryi. Mieliśmy z początku w Krakowie dwóch kandydatów z V. kuryi, którzy, polując na mandat, dopuszczali się przytem nietylko najrozmaitszych śmiesznych postępków, ale często wprost — łajdactw. Jednym był stańczyk Szczepański, drugim młodo-stańczyk (zwany również „ludowcem") Mikołajski. Szczepański zaraz w początkach agitacyi stał się niemożliwym: zabił go jarmarczny sposób reklamowania swojej osoby, zabiła śmieszność, jaką okrywały go jego zgromadzenia,— a wreszcie zabili go socyaliści, którzy z niesłychaną rzeczywiście złośliwością wyciągali publicznie rozmaite brudne sprawki „nieczystego" kandydata. Pan Szczepański musiał ustąpić z pola walki, z areny społecznej, na której odegrał niefortunną rolę klowna. Został jeszcze tylko jeden kandydat partyi socyalisto-bójczej: p. dr Mikołajski. Indywiduum to, dawniej przekonań socyalistycznych, sądzony nawet o obrazę religii, obecnie rzuca się na socyalistów z szaloną wściekłością głupca: zarzuca im niereligijność, niemoralność, przewrotność itd. itd. Sam zaś okazuje się jako najwyklejszy tchórz, kryjący się przed swoimi wyborcami pod opiekę policyi. Zebranie, odbyte w Krakowie dnia 24 bm., jest najświeższym i najlepszym dowodem całej nikczemności p. Mikołajskiego i jego kliki. Mikołajski, idąc w ślad za przykładem Szczepańskiego, urządza zgromadzenia wyborcze za zaproszeniami, przy zamkniętych drzwiach. Człowiek, który chce wyborem swoim okazać całemu światu, jak wielkie ma zaufanie u ludu, obawia się przed tym ludem wypowiedzieć głośno swoje przekonania i zamyka się przed nim na klucz, otoczony dla bezpieczeństwa strażą policyjną. Środowe zgromadzenie było przeznaczone dla majstrów i t. zw. inteligencyi. W ten sposób „ludowcy" urządzają zebrania i po wsiach: zbierają kilkunastu lub kilkudziesięciu zamożnych chłopów, którym pakują do czaszek przeróżne strachy na temat zrabowania własności przez socyalistów, zburzenia religii itp., a następnie wystraszonym chłopom każą później głosować za rezolucyą, potępiającą socyalizm. Na drugi dzień „Nowa Reforma" i „Kuryer Lwowski" głoszą radośnie, że „ludowcy" odnieśli olbrzymie zwycięstwo, — a wybór p. Mikołajskiego zapewniony. We środę jednakowoż nie udała im się sztuka: nasi towarzysze z wielkim trudem, po żywych utarczkach z komisarzami policyi, dostali się na salę i żądali, aby pan kandydat wypowiedział przed nimi mowę kandydacką. Ale pana kandydata nie można było skłonić do tego: ubrany w palto, usiłował chyłkiem wymknąć się z sali i dygocąc ze strachu, pobladły, skulony chciał przedostać się do wyjścia. Nasi towarzysze nie chcieli go z początku puścić: oburzeni, że za zamkniętemi drzwiami rzuca na nich obelgi, a wobec nich nie ma śmiałości wystąpić, chcieli koniecznie, aby przemówił. Na szczęcie dla pana dra nasi ludzie mają litość nad tchórzem; tow. Englisch, którego obrano przewodniczącym zebrania, otrzymawszy na swe zapytanie odpowiedź od p. Mikołajskiego, że chce wyjść, odprowadził go aż do drzwi sali. P. Mikołajski wyszedł wśród śmiechu i urągań zebranych, nie mogąc z ogromnego strachu ani słowa przemówić. — Tak uciekł przed ludem człowiek, który chce, aby go lud obrał swoim posłem! I oto jest ogromna doniosłość ruchu wyborczego, że z bezlitośną bezwzględnością zdziera maskę z ludzi, kryjących się pod fałszywemi pozorami, i w całej, obrzydliwej nagości okazuje ich dusze. Dopiero obecna agitacya wyborcza dała nam poznać istotną wartość „ludowców" i ich kandydata pana Mikołajskiego...

Dyrekcya kolejowa wobec agitacyi przedwyborczej. Są chwile, w których porusza się wszystkie sprężyny, aby tylko przeprzeć swoje, wydobywa wszystkie środki, wiodące jakąbądź drogą do wytkniętego celu. A taka chwila jest z pewnością obecna: chodzi o rzecz tak ważną, doniosłą, jak wybory do Rady Państwa, chodzi o zwycięstwo lub klęskę, o życie lub śmierć wszystkich wstecznych prądów i osobistości. Nasza partya wezwała przez usta „Kuryera Kolejowego" wszystkich uczciwych kolejarzy, wszystkich gnębionych i wyzyskiwanych na kolejach, ażeby w imię sprawiedliwości i postępu agitowali na rzecz naszego programu i naszych kandydatów. Nic dziwnego, że wobec takiego wezwania dyrekcya krakowska doznała niespokojnego bicia serca i wszystkich pulsów — i postanowiła gwałtownie przeciwdziałać naszemu wezwaniu. Spostrzegła ona, że ani mundury, ani stabilizacya nie zdołają powstrzymać dzielnych kolejarzy od agitacyi wyborczej i dlatego chwyta się obecnie niby nowego środka: wysyła mianowicie na prowincyę szpiclów w postaci rozmaitych oficyałów i urzędników, którym poleca śledzenie za kolejowymi agitatorami. Donoszą nam z Tuchowa, że dn. 17 b. m. przybył tam niejaki p. Mieszkowski z dyrekcyi krakowskiej i bardzo gorliwie badał, czy dwaj nasi tamtejsi towarzysze nie agitują i nie chodzą na zgromadzenia wyborcze. Szacowny ów „delegat" chodził podobno od jednego szynkarza do drugiego, dopytując się, czy kolejarze nie chodzą na zgromadzenia, czy nie przemawiają kiedy, nie agitują itp. Jeden z badanych oświadczył podobno, że nic wprawdzie o tem nie wie, ale sądzi, że i kolejarzom wolno chodzić na zgromadzenia. Na co p. M. z miną wielce tajemniczą, a wyrażającą przytem przejęcie się ważnością wypowiadanego zdania, odrzekł, że dyrekcya nie życzy sobie, aby kolejarze chodzili na zgromadzenia. Pan oficyał udał się potem pono do żandarmeryi i tam ku wielkiej uciesze wszystkich obecnych żądał, aby żandarmi nie zezwolili na żadne zgromadzenie w Tuchowie ze względu na... dyrekcyę krakowską. Naturalnie, że p. M. nic nie zdziałał: dyety pobierał bardzo skrupulatnie, ale też za to ośmieszył nietylko siebie, ale i swoją „dyetodawczynię" — dyrekcyę kolejową.

„Czyż nie lepiej" — zapytują towarzysze tuchowscy — „zrobiłaby świetna dyrekcya, gdyby wysłała delegata dla zbadania stosunków na naszej stacyi, które są wprost nieznośne pod rządami obecnego naczelnika? Przyrzekamy jej w takim razie, że przytoczymy wówczas cały szereg faktów, które ją więcej zająć powinny, niż agitacya wyborcza". Ba, ale cóżby robiła dyrekcya, gdyby nie... śledziła w czasach tak gorących, jak teraz? Choćby tylko w ten sposób musi okazać swoje polityczne przekonania — niedoszły kandydat, p. Kolosvary...

Objawy przyjaźni p. Guttenberga. Pamiętamy wszyscy, jak p. minister Guttenberg wysławiał przy każdej sposobności swoją niezwykłą przyjaźń i sympatyę dla robotników i wogóle funkcyonaryuszów kolejowych. Nie dość na tem, p. Guttenberg zapewniał nawet, że temi samemi uczuciami przejęty jest również minister skarbu, p. Biliński. „Ach, oniby tak chcieli poprawić byt kolejarzy — i z pewnością zrobią dla nich wszystko, co będzie w ich mocy!"

I pokazało się obecnie, co znaczy opieka takich dwóch potężnych protektorów. Reskryptem z 16 stycznia 1897 r. ministerstwo kolei uwiadamia, że odtąd wszystkie podania, wnoszone do dyrekcyi i ministeryum, mają być ostemplowane stemplem za 50 ct., każdy zaś załącznik za 15 ct. Odtąd więc każdy, kto podaje prośbę o zapomogę, urlop, dodatki do pensyi itd., będzie musiał złożyć na rzecz skarbu 50 ct.! Z biednej kieszeni robotnika wyciska się ostatni grosz, aby — wesprzeć kasę państwa! Oto jeszcze jeden objaw przyjaźni p. ministra. Nie wiedzieć, co w tym ukazie pierwej podziwiać: czy głupotę, czy bezgraniczną złośliwość i chęć szkodzenia?

A jaka ironia, straszna, gryząca ironia leży w tem rozporządzeniu: żebrakowi (mówmy otwarcie), który dostaje często jeden zlr. zapomogi, każą płacić podatek 50-centowy! Tacy ludzie jak Guttenberg i Biliński, nie pytają się nigdy, skąd robotnik weźmie pieniędzy na spełnienie tego nowego ciężaru. To im wszystko jedno: chcesz mieć zaszczyt wnoszenia podań do świetnej dyrekcyi lub wysokiego ministeryum, to płać! My nic zadarmo nie dajemy!

„Kolejarz" o socyalizmie. Uczciwi urzędnicy kolejowi nie dają się tumanić jezuicko-stańczykowskim zapędom rozmaitych dyrektorów i naczelników. Możemy z uznaniem stwierdzić że istnieją jeszcze w Galicyi urzędnicy, którzy przenoszą ponad lizuństwo i karyerowiczostwo prawdę i niezawisłość. Organ tej części kolejowych funkcyonaryuszy, „Kolejarz", piętnuje zawsze bardzo dobitnie i otwarcie wszelkie podłości pp. „przełożonych", a wobec zorganizowanych robotników zajmuje szczere i jedynie słuszne stanowisko, tj. jak wobec równie wyzyskiwanych towarzyszy, od których przykład brać powinien pod wielu względami. W ostatnim numerze znajdujemy nader ciekawy artykuł p. n. „Z mordowni stanisławowskiej", gdzie podaje szereg nadużyć, dokonanych z rozmaitych stron w osobie urzędnika Krzanowskiego. Oto co w końcu powiada: „Słyszałeś często, szan. czytelniku, czynione socyalizmowi przez namaszczonych i płatnych obrońców „porządku" społecznego zarzuty, że socyalizm znosi własność indywidualną, rodzinę i moralność. Własnością Krzanowskiego było prawo emerytury, okupione długoletnią i ciężką pracą, a któż mu tę własność zrabował? Czy socyalizm? Właśnie wrogowie socyalizmu. — Palacz kolejowy, maszynista, konduktor, pracując przeciętnie ośmnaście (!!!) godzin dziennie, ma prawo do owoców swej pracy, dostaje jednak 400 złr. rocznej gaży, tj. tyle, ile rząd wypłaca na... owies dla konia pocztowego! Któż tu więc jest wrogiem własności indywidualnej? Przecież nie socyalizm!... Maszyna ma wyznaczony czas, po upływie którego musi iść do warsztatów; kolejarz zaś musi całe życie pracować bez wytchnienia, musi być wytrwalszym jak kruszec — jemu zachorować nie wolno. Któż tu więc depce etykę? Czy socyalizm? — Oszczędność sztachańska!.... Podobnie rzecz się ma i ze zniesieniem rodziny, imputowanem niesłusznie zwolennikom socyalizmu. Kolej, wypędzając Krzanowskiego bezprawnie, zniszczyła zarazem egzystencyę jego rodziny; kolej, płacąc 400 złr. rocznego „wynagrodzenia" (!) palaczowi, konduktorowi itd., zabija i jego rodzinę. Wielcy „panowie" tymczasem mają z owoców pracy swych pracowników aż nadto funduszów nietylko na wychowanie własnej rodziny, lecz także na zbytek, na kaganiec dla prasy, na kazanie o moralności i zwalczanie nowej nauki, która głosi wyzwolenie klas pracujących przez zniesienie przywilejów trutniów społecznych!" — Cóż na to powiedzą ci wszyscy, którzy tak stanowczo twierdzą, że socyalizm nie może dostać się do głowy urzędników?...

Z magazynów kolei północnej.

Niema z pewnością ani jednej gałęzi pracy, ani jednego miejsca na naszych kolejach, gdzieby nie panował najgorszy wyzysk, najstraszniejsze przeciążenie. To, co dziś na kolejach wprowadza ustawa jako coś normalnego, jest już samo przez się nienormalnem, bo stanowi właściwie podkład do wyzysku i nadużyć. Jest więc zatem zupełnie zbytecznem tworzyć jakieś nowe, nieprzewidziane środki, któreby ten wyzysk jeszcze powiększały, wyszukiwać jakieś nowe sposoby dręczenia ludzi, już i tak ledwo dyszących pod jarzmem pracy.

Zarząd magazynów kolei północnej jest jednak widocznie innego zdania. Znanym jest wyzysk panujący na tej kolei, który wprost drwi sobie z najprostszych uczuć ludzkości, a przecież zarządowi nie dosyć tego „unormowanego" wyzysku. Do niedawna magazynów kolei północnej było trzy: nadawczy, odbiorczy i tranzytowy. Zatrudniały one niewielką ilość robotników, którzy pracując na akord, zarabiali 16 do 20 złr. na pół miesiąca. Już w tych trzech magazynach, z powodu niedostatecznej ilości robotników, praca była ciężką i wymagała wielkiego wytężenia.

Od 3 lat przybył jeszcze czwarty magazyn zbiorowy, p. Józefa Leinkaufa. Nie przyjęto jednak do niego (jakby się należało spodziewać) osobnych robotników, ale kazano robotnikom, obciążonym pracą już w tamtych magazynach, wykonywać robotę i w nowym. Płacono im za to 1·6 ct. od 100 klgr. Po długich staraniach robotnicy zdołali osiągnąć podwyższenie płacy o 1 ct. na 100 klgr.

Przy tak „wysokiej" płacy praca trwa od 6 rano do 6 wieczór, a czasem do 10-tej i do 11-tej! Pracuje się tu gorączkowo, na gwałt, do tego stopnia, że chodzi się przez sztrekę z ciężarami, chociaż to jest wyraźnie zabronione. Wiadomo, że za przekroczenie tego przepisu robotnik ponosi nawet ostrą karę, — tu jednak wolno, bo w ten sposób oszczędza się czas; a oszczędność jest na kolei pierwszem i najważniejszem hasłem. Dla niej poświęca się nawet bezpieczeństwo robotnika, byleby tylko jak najprędzej wszystko zrobić i jak najwięcej...

Całą tą robotą kieruje p. Józef Czap, zastępca naczelnika, kierownik ekspedytu. On to wszystko tak mądrze urządza i zyskuje naturalnie pochwały z góry.

Gorliwość swoją p. Czap posuwa tak daleko, że popełnia nawet... szwindle, naturalnie na koszt robotników. Oto mianowicie do owego zbiorowego magazynu przeznaczał on po dwóch robotników przez 8 do 10 dni i dziwnym jakimś tajemniczym sposobem — nie dawał im za to żadnego wynagrodzenia. Skrzywdził w ten sposób z 18 robotników każdego na siedm mniej więcej reńskich. Gdzie się te pieniądze podziały, rzecz dotąd niewyjaśniona.

Tak postępuje się na kolei z ludźmi, którzy pracują już przeważnie od lat 20 i ze swej niskiej płacy (będącej jedyną nagrodą za tyloletnią służbę) mają do wyżywienia częstokroć liczną rodzinę.

Nadto robotnicy w tych magazynach narażeni są na grubiaństwa ze strony rozmaitych pachołków kolejowych, którzy wydrapawszy się za pomocą pełzania i lizania na niby wyższe stanowiska, odważają się zadzierać nos wobec uczciwych robotników. Dodać przy tem należy, że w wypadku, o którym myślimy, ściągają te grubiaństwa na robotników nieprawidłowe stosunki w owych magazynach, wynikające z winy samego zarządu. I tak zdarza się często, że magazyn odbiorczy potrzebuje pomocy od magazynu nadawczego. Wówczas ekspedytor pan Maraszkiewicz nie chce się na to zgodzić pod żadnym warunkiem i wyzywa ostatniemi słowy robotników magazynu odbiorczego, każąc im zdychać z pracy itd. Taka jest bezczelność tego panka, który będąc administratorem w zakonie Wizytek, ma 2.000 złr. rocznej pensyi i z tego powodu uważa się za uprawnionego do podobnego postępowania. My mu przypominamy, że każdy z „jego" robotników ma cel, dla którego żyje, ma rodzinę, którą utrzymuje uczciwą pracą i dla której życie jego jest koniecznem, — a on, p. Maraszkiewicz, mógłby pójść tą drogą, którą tak bardzo innym zaleca, bez żadnej szkody dla społeczeństwa, lub dla kogo innego...

Ale mniejsza o p. Czapa, mniejsza o p. Maraszkiewicza: jeśli oni nam zanadto będą brykali, to ich potrafimy poskromić, jak już poskromiliśmy niejednego oszusta i brutala. Nam chodzi o sam system wyzysku, który odbiera robotnikom ich siły żywotne i energię.

Tu walczyć nam potrzeba z całą maszyneryą wyrafinowanego wyzyskiwania, walczyć usilnie i niezmordowanie. I robotnicy kolei północnej zrozumieli już tę potrzebę i środek obrony: świadczy o tem liczne ich przystąpienie do organizacyi.

I możemy ich zapewnić, że z tą chwilą, kiedy się stali zorganizowanymi robotnikami kolejowymi, zrobili już bardzo wiele (choć nie bezpośrednio) dla polepszenia swojej doli. Niechaj tylko wytrwają w raz podjętej walce i nie dadzą niczem złamać swojej energii!..

Pod pręgierz.

Nowy Sącz. Smutną wiadomością rozpoczynamy nasz list dzisiejszy. Dnia 22 bm. odprowadziliśmy na cmentarz towarzysza naszego, Antoniego Prokopskiego. Uwolniony niedawno z wojska na przedstawienie siostry, którą utrzymywał, powrócił do nas i z ciężką biedą dostał się napowrót do roboty. Ta robota jednak była przyczyną jego śmierci: przeziębił się, oblawszy się przypadkowo wodą, a odtąd chorował ciągle, aż śmierć uwolniła go od trosk i niedoli, która była tu jego udziałem... Nieliczna garstka towarzyszy postępowała za jego trumną, ale nie dlatego, żebyśmy nie chcieli oddać swemu koledze ostatniej posługi. Wina tu naszego naczelnika, który nie chciał dać wszystkim urlopu, a tylko małej cząstce pozwolił pójść na pogrzeb. Dawniej żaden przełożony nie odważył się odmówić nam pozwolenia w takich razach, dziś kiedy państwo wzięło nas pod swój zarząd, boją się, żeby przez te trzy godziny, przez które trwał pogrzeb, nie ponieśli ogromnych strat i dlatego nas nie puszczają. Dzieje się to naturalnie tylko wtedy, kiedy mamy pogrzeb robotnika, jeśli zaś chodzi o jakiego naczelnika, to natychmiast każdy dostaje urlop, byleby tylko chciał pójść... Jestto rzeczywiście bardzo smutny objaw i naprowadza nas tylko na tę myśl, że zarządy nasze nie mają w sobie ludzkich uczuć, gdzie chodzi o biednego robotnika. Choć nasze listy do „Kuryera" nigdy nie zawierają w sobie nic radosnego, to dzisiejszy szególnie przeznaczony jest na to, aby podał wszystkie nasze krzywdy, jakich mamy coraz więcej. I tak nowe ministerstwo kolejowe widocznie na to utworzone zostało, aby nam wciąż jakieś przykrości czynić. W tych dniach dostaliśmy okólnik, który nakazuje wszelkie podania do dyrekcyi stemplować, stemplem za 50 ct., a każdy dalszy arkusz za 15 ct.; do ministerstwa pierwszy arkusz ma mieć stempel za 1 złr., a następne po 50 ct. Widocznie p. Guttenberg sądzi, że jeszcze za mało płacimy i chce nam w ten sposób utrudnić ową tak wysławianą przez siebie „drogę służbową". Z wysokości p. Guttenberga zjeżdżając napowrót do naszej dyrekcyi musimy zanotować jeszcze jedne nieprawidłowość przy wypłacie. Dzieje się ona mianowicie z powodu bardzo niedbałego prowadzenia listy płatniczej w dyrekcyi, ztąd bardzo często robotnik dostaje mniej, niż mu się należy, bo mu ściągnięto z płacy za najrozmaitsze rzeczy. Kiedy się zaś udaje z zażaleniem do p. naczelnika, to każe mu się wnieść podanie do dyrekcyi, podczas gdy właściwie naczelnik obowiązany jest pilnować porządku w kancelaryi i uważać, żeby nie było takich nadużyć. Wobec tego my żądamy stanowczo, żeby przy wypłacie każdy dostawał spis tego, na co mu się ściągnęło z płacy. Niech przynajmniej każdy wie, co się robi z jego ciężko zapracowanym groszem. A może taki spis przyda nam się kiedyś i do podania do dyrekcyi, jako dowód ładu w naszych warsztatach...

Tuchów. („Sprostowanie" p. naczelnika). P. naczelnik jest obecnie bardzo zadowolony: Oto sądzi on, że sprostowaniem, które umieścił w naszem piśmie, oczyścił się zupełnie z wszystkich zarzutów, czynionym mu, a będących podług niego, „wymysłem korespondenta". Zaprędko jednak p. naczelnik tryumfuje; kilka wierszy sprostowania napisać, to rzecz łatwa, ale fakt zostaje faktem. Jesteśmy gotowi podać w najbliższym numerze szereg faktów, świadczących o tem, że owe wybryki i nadużycia, o jakich piszemy, to nie wymysły, ale bardzo konkretna prawda. Na razie przypominamy tylko szan. autorowi sprostowania kilka „drobnych" fakcików: Na miejsce owego zasuspendowanego strażnika przyjęto innego, niejakiego Michała Iwanca, który miał dostawać dziennie 60 ct. Tymczasem robił on tylko co druga noc i pobierał za każdą 30 ct. (razem za 15 nocy dostał 4 złr. 50 ct.). Dziwna rzecz, że w listach było zaliczone po 60 ct. za noc, co się stało z tą resztą? A może ten robotnik nie poznał, że to 60 ct., i brał 60 ct. w tej myśli, że bierze trzydzieści? Być może... Albowiem dyrekcya przysłała panu naczelnikowi 47 złr. 91 ct. na wypłatę: z tego dostali robotnicy Błażej Fiut 18 złr. 22 ct., Piotr Grzenia 20 złr. 58 ct. (należało mu się 21 złr. 34 ct.). Michał Iwaniec 4 złr. 50 ct. Razem wynosiło 43 złr. 30 ct. Gdzie więc podziała się reszta, skoro do dyrekcyi nie odesłano nic, prócz kwitów?

Nie jesteśmy wprawdzie pewni, czy my źle nie dodajemy i odejmujemy, czy może pan naczelnik kieruje się inną, jakąś wyższą (stosownie do stopnia) matematyką, chcieliśmy tylko podać tę małą ilustracyę do owego „sprostowania".

Tyle co do „matematyki". Z innych faktów, o których później jeszcze napiszemy, podajemy jeden bardzo jaskrawy, który swoją ohydą musi wstrząsnąć każdym, choćby najobojętniejszym człowiekiem. Oto na dniu 6 października z. r. rzucił się p. naczelnik na pewnego robotnika, wymierzając mu przeszło dwadzieścia policzków. Ofiary broniła p. naczelnikowa, naturalnie z obawy tylko, aby jej mąż za zabicie człowieka nie dostał się poprostu do kryminału.

Stanisławów. (Bal lizuniów). Jakoś w początku miesiąca lutego, za staraniem tutejszej „Czytelni kolejowej", odbył się bal (lizuniów) w dawnem kasynie mieszczańskiem, na który tylko zasłużonym i do zgrai lizuniów należącym zaproszenia poprzesyłano, omijając długoletnich i podejrzanych członków tutejszej „Czytelni".

W ten sposób dobrane towarzystwo zaszczyciła na owym balu swą obecnością patryarchalna postać tutejszego kuma dwu tytułów dworu p. Wierzbickiego, rozpoczynając tańce polonezem z prezesową „Czytelni", Sobolewską, którą, nie wiem dla jakiego przymiotu, okrzyknięto „królową balu", podczas gdy żony konduktorów dla jej trzepotliwego języka zwą ją „Gazetą Narodową". Bal ten przywodzi nam na myśl smutny obraz naszych stosunków narodowych. Jakżeż żywą odbitkę przeszłości mamy w tym balu lizuniów, którzy, nie bacząc na walkę braci, idą w tany pod przewodnictwem tych, którzyby ich radzi widzieć niewolnikami.

Wobec dodatniego rezultatu pracy kolejarzy w innych dyrekcyach, musimy powiedzieć naszym wybranym liziniom: „tańczcie na grobie swej wolności i po ciałach pod kołami poszarpanych braci, z waszemi kumami na czele, podczas gdy matki, żony i dzieci tych ofiar niedbalstwa (kumoterskiego) głód i chłód cierpią. Tańczcie zatem lizunie, nie pomnąc na nie, tańczcie aż wam w waszych oszołomionych i bezmyślnych łbach błyśnie kiedyś może upamiętanie.

Z smutkiem zaznaczyć musimy, że na owym balu nie był obecnym biedak, ojciec dziewięćciorga dzieci, nadkonduktor Pilarz, który w jednym miesiącu za kumoterskie ukazy zapłacił 20 złr., może byłby ów biedak znalazł sposobność przypomnieć się radcy Wierzbickiemu, aby w krótkiej drodze otrzymał odpowiedź, której do dziś, mimo wnoszonych rekursów, nie otrzymał.

Z organizacyj.

Wiedeń. (16 posiedzenie Zarządu Związku z dn. 22 stycznia 1897). Na porządku dziennym sprawy przeważnie administracyjne. Ustanowiono koszta tłomaczenia protokołu z kongresu kolejarzy na język słoweński. Do wiedeńskiej komisyi zawodowej wysłano jako delegata tow. Wintersbergera. Postanowiono przedsięwziąć turę agitatorską między kolejarzami w czasie od 10 kwietnia do 27 września 1897. Poczem zamknięto posiedzenie o godz. 3/4 1 w nocy.

KRONIKA.

Antoni Prokopski, robotnik ślusarski w warsztatach kolei państwowych w Nowym Sączu, zmarł dnia 20 b. m. Zmarły, młody człowiek, był jednym z najdzielniejszych towarzyszy i najczynniejszych członków „Koła miejscowego". Praca w warsztacie podkopała jego zdrowie, a nieszczęśliwy wypadek dobił go do reszty. Szczera sympatya towarzyszy niedoli była mu nagrodą za życia i odprowadziła go do grobu — po śmierci.

Z Podgórza dostajemy następujące pismo: „Dn. 22 lutego obchodzili kolejarze podgórscy piękną a rzadką uroczystość. Naczelnik stacyi tutejszej, p. Młynarski, ukończył w lutym b. r. 25 lat służby kolejowej, w ciągu której dosłużył się jedynie skromnej pensyi i rangi, lecz za to zyskał sobie serca współpracowników i podwładnych. — Licznie zebrani kolejarze wyrazili jubilatowi w krótkich a serdecznych słowach swe życzenia przez usta urzędnika p. Grena i konduktora p. Balińskiego, wręczając mu skromne album z kilkuset podpisami funkcyonaryuszy kolejowych. Cała uroczystość tchnęła prawdziwą serdecznością. Zauważyć przytem muszę, że między zebranymi byli sami prawie nasi dobrze znajomi towarzysze, — natomiast nie było ani jednego członka tak zachwalanych z góry „Przyjaźni", lub „Czytelni". Nic dziwnego, — nasa organizacya nauczyła szanować zasługi i pracę, z nich nikt nie rozumie, że obowiązkiem wszystkich uznać lata pracy i zasługi każdego, czy on urzędnikiem, czy zwykłym robotnikiem. *Gryf.*

Ekspozytura jezuickiej „Jedności" na kolei. Pod tym tytułem podaje lwowski „Robotnik", że znany p. Drewnowski, inżynier, powykładał w portyerce, gdzie robotnicy warsztatowi schodzą się na obiad, pisma takie, jak „Grzmot", „Przegląd" i inne, stojące na żołdzie stańczykowsko-jezuickim, i poleca je robotnikom do czytania. „Ciekawa rzecz" — pyta „Robotnik" — „skąd p. Drewnowski bierze pieniądze na pisma: od dyrekcyi czy od Jezuitów?" My dodamy od siebie, że robotnicy pewnie są wdzięczni p. Drewnowskiemu za wyłożenie „Grzmotu". Mają przynajmniej podczas obiadu, po ciężkiej pracy, jakieś rozweselenie, jakąś zabawę: śmiejąc się serdecznie, zapominają może o niejednej trosce... Boć przecie ten „Grzmot" tak szczerze humorystyczny!...

Zgromadzenie urzędników kolei północnej odbyło się w Wiedniu dnia 14 bm., na którem był też obecny członek partyi socyalno-demokratycznej tow. Reumann. Po przemówieniu jednego z urzędników, który wykazywał ospałość i obojętność, panującą między urzędnikami, tow. Reumann przedstawił stosunki dobroczynnych zakładów kolejowych. Omówił bardzo dokładnie liczne braki w kasach chorych, przeciążenie lekarzy i t. d. Zgromadzenie przyjęło bardzo życzliwie jego przemowę, poczem uchwaliło jednogłośnie rezolucye, wzywająca wszystkie stowarzyszenia urzędników i robotników kolejowych do rozpoczęcia energicznej akcyi w celu uzyskania zmian w dzisiejszym systemie kas chorych.

Pobojowisko pracy w r. 1895. Wyszło właśnie urzędowe sprawozdanie z ubezpieczenia od wypadków w Austryi za r. 1895. Cyfry, jakie w niem znajdujemy, są wprost straszne, okazuje się, że w tym roku na pobojowisku pracy liczono **54.562** rannych, a **835** zmarłych. Ofiary te zawodu pozostawiły **1439** wdów i sierot... Oto są smutne wyniki przeważnie złych urządzeń we fabrykach, lekkomyślności i niedbalstwa ze strony fabrykantów. Ale zobaczmy, jakie wynagrodzenie przyznaje zakład ubezpieczenia od wypadków: Oto na zupełnego inwalida wypada w r. 1895 rocznie **84** złr. (w r. 1894 **91** złr.); wdowa po zmarłym otrzymuje **73** złr., sierota **48** złr. na rok. Czyż to nie wprost ironia? We Lwowie, w zakładzie ubezpieczeń, renta ta jest jeszcze mniejszą; mianowicie na zup. inwalida wypada tam **73** złr. rocznie, na wdowę **45** złr., sierotę **32**! Przytem statystyka wykazuje, że w r. 1895 odrzucono większą ilość podań o zapomogę, niż w r. 1894; i tak odrzucono w r. 1895 **70**% wszystkich podań, w r. 1894 **68**%. Takie stosunki panują w zakładach, które mają być dla dobra robotników utworzone. I tak będzie dopóty, dopóki wszystkich takich instytucyj nie wezmą w swoje ręce robotnicy sami.

Położenie robotników kolejowych w Niemczech. W „Sprawozdaniu o wynikach ruchu pruskich państwowych kolei za rok 1895/96", znajdujemy po raz pierwszy urzędowe daty statystyczne o czasie pracy, odpoczynku i płacy służby kolejowej, jakoteż przedruk przepisów służbowych, dotyczących długości dnia roboczego. Podług tych przepisów, których wykonanie pozostawia się zresztą „uznaniu" dyrekcyj, wynosi czas pracy

	„z reguły"	„wyjątkowo"	
dla strażników kolejowych	14	16	godzin
„ urzędników stacyjnych	8—12	16	„
„ telegrafistów	8	[illegible]	„
„ wagmajstrów	12	14	„
„ personalu pociągowego	11	[illegible]	„

Już te cyfry wskazują, jak wielkie jest przeciążenie służby kolejowej. W praktyce jednak to, co w przepisach zaznaczone jest jako „z reguły", nigdy się nie zdarza, a „wyjątkowy" czas pracy jeszcze jest wobec rzeczywistych stosunków za nisko podany. Z 274.264 robotników kolejowych na 140.931, a więc więcej niż połowa, czas dłuższy od 10 godzin. Co do wypoczynku, to na 173.705 osób tylko 79.435 ma w miesiącu więcej niż 2 dni wolne, blisko 100.000 nie ma nawet dwóch dni na miesiąc! Płaca waha się „przeciętnie" między 2 i 3 m. (t. j. 1 złr. 20 ct. i 1 złr. 80 ct.), a przy niższych kategoryach spada do 1·61 m. dziennie przeciętnie, (t. j. blisko 1 złr.), to znaczy, że są jeszcze niższe!

Są to stosunki wprost nieznośne, i dlatego też niemieccy robotnicy kolejowi utworzyli już własną organizacyę, która ma za zadanie wywalczyć lepsze warunki pracy.

Z Londynu telegrafują, że wybuchł tam strejk robotników, zatrudnionych przy kolei północno-zachodniej. Rozmiary strejku wzrastają ciągle i w razie, gdyby dyrektorzy nie zgodzili się na żądania strejkujących, przyłącza się do niego również służba towarowa i kierownicy lokomotyw.

Sądy rozjemcze między zarządami a personalem kolei amerykańskich. Przywódcy zawodowych związków kolejarzy w Ameryce uchwalili wysłać w tym roku znowu delegata do Washingtonu, który ma strzedz interesów kolejarzy w ustawodawstwie. Projekt, przedłożony jeszcze tamtej sesyi, a dotyczący ustanowienia sądów rozjemczych dla załatwienia sporów między zarządami a służbą kolei, ma być powtórnie wniesiony i podany pod debatę.

Druk A. Słomskiego w Krakowie. Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Tomasz Tokarz